



Dwa akty komedii wyborczej skończyły się. Akt pierwszy, wybory ludowe, przeszedł bez niespodzianek. We wschodniej Galicyi wybrano po połowie Rusinów i polskich konserwatystów; między 21 Rusinami znajduje się 11 moskalofilów. W Galicyi zachodniej zwyciężyli ludowcy (18 mandatów), reszta głosów padła na konserwatystów (5), centrowców (3). Prócz tego wejdzie z kuryi ludowej do sejmu 3 demokratów narodowych, tyluż demokratów bez przydomka i 3 ruskich radykałów. Naogół wybór pomyślny, spodziewano się bowiem, że Rusini zdobędą kilka mandatów więcej.

O ile pierwszy akt był utrzymany w tonie bądźco bądź poważnym, to akt drugi, wybory z miast, pod względem humorystyki przeszedł najśmielsze oczekiwania. Walka we Lwowie przybrała niebywałe rozmiary. Kłócono się jak za najlepszych czasów; zużyto cały słownik wyborczych wymysłów. Z małym wyjątkiem każdy z kandydatów dowiedział się, że jest skończonym łotrem i zupełnym bezmózgowcem. Do południa zgłosiło się w dzień wyborów do urny już 516 humorystów, którzy oddali głosy p. Dulebiance, wiedząc, że kobiety nie mają prawa wyboru. Nie obeszło się nawet bez epizodu z podkładem tragicznym: kandydat Battaglia został raniony nożem, padły strzały rewolwerowe. Wybrano tylko 3-ch posłów: Głabińskiego, Ciuchcińskiego i Loewensteina — reszta kandydatów została przy nadziei do dnia powtórnych wyborów. Chrześcijań głosowało przeszło 3000, żydów koło 2000.

Zupełnie inaczej pod względem wyznaniowym wystąpił Kraków i w tem leży smutna humoryka krakowskich wyborów. Na 3400 wyborców żydowskich stanęło do urny przeszło 2700 tj. koło 80%, a na 6400 wyborców chrześcijańskich zdecydowało się zrobić poświęcenie ze swego czasu 1700—1800, to jest co najwyżej 28%. Wobec tego lista tak zwana demokratyczna, popierana przez ludność żydowską, a obejmująca nazwiska jednego starego demokracy (Bandrowskiego), dwu b. konserwatystów przeszłych, przed 4-ma miesiącami na wiarę demokratyczną (Lea i Federowicza), oraz żyda niezawisłego (Landana) nie potrzebowała nawet ani jednego chrześcijańskiego głosu, aby odnieść walne zwycięstwo. A ponieważ wyborcy chrześcijańscy, jak zwykle, podzielili się, przeto lista tak zw. demokratów otrzymała już nietylko zwycięstwo, ale święciła wspaniały tryumf. Żydzi jeszcze raz dowiedli niezwyklej solidarności; najwięksi przeciwnicy kandydata dr. Landana, wrogowie zdawałoby się nieprzejednani, szli głosować za nim, kiedy im powiedziano, że tu idzie o sprawę żydowską, o uchwalenie ordynacji sejmowej, dogodnej dla żydów i o dalszą wspólną akcję przy wyborach do rady miejskiej („Tygodnik“, organ żydów niezawisłych, otwarcie tak rzecz postawił). Nawet syonisci, którzy twierdzili do ubiegłego piątku, że ich nic sejm polski nie obchodzi i że żaden nie pójdzie do urny, już nazajutrz, w sobotę, uchwalili gremialnie stawić się w magistracie, aby jak jeden mąż głosować za doktorem Landanem.

Przy opieszałości wyborców chrześcijańskich, przy ich niesłychanej apatii, nie poczuwaniu się do obowiązków obywatelskich, zostawała tylko jedna rada na uzyskanie odmiennego wyniku. Należało w Krakowie postawić kandydatury ministra Korytowskiego, ministra Abrahamowicza, namiestnika Potockiego i gubernatora banku austro-węgierskiego, dr. Bilińskiego. Tylko takie kandydatury otrzymałyby połowę przynajmniej głosów żydowskich i przemówiły do uczuć „patryotycznych“ sfery urzędniczej, wstrzymującej się od głosowania. Że tak jest, dowodzą wybory w Nowym Sączu i Stanisławowie. W Nowym Sączu wszyscy żydzi (tak w Krakowie liberalni) głosowali za konserwatystą ministrem Korytowskim, który otrzymał 1000 głosów, kiedy jego kontrkandydat, niesłyszany silnie popierany (jak codzień głosiła o tem „Nowa Reforma“) przez wszystkie żywioły demokratyczno - postępowe, otrzymał 200 głosów. W postępowym Stanisławowie gubernator banku austro-węgierskiego, konserwatysta Biliński otrzy-

mał również blisko 1000 głosów na 1200 głosujących.

Nieoczekiwany (przynajmniej dla „Nowej Reformy“) rezultat dał wybór w Samborze. Czytaliśmy w tym dzienniku, że kandydata Sobolewskiego na seryo brać nie można, że go na zebraniu przedwyborczem „ledwie wyciągnięto na estradę i usiłowano z niego wycisnąć odpowiedź na kilka interpelacyj — ale kandydat pocił się jak mysz... zaklinał się tylko, że jest mieszczaninem, nie udało się nawet wydobyć z niego, do jakiego należy stronnictwa“. Zdawałoby się więc, że taka pocąca się mysz, taki (według „Nowej Reformy“) niedołęga, nie może mieć szansy wobec „rzeczywiście zdolnego, sympatycznego i zasłużonego b. posła do sejmu dra Tomaszewskiego“. Tymczasem kandydat Sobolewski otrzymał najwięcej głosów i przyszedł do ściślejszego głosowania, ale nie z drem Tomaszewskim, który najmniej miał głosów, lecz z kandydatem Ziemniakiem.

Również zabawnie wypadł wynik wyborów z okręgu Jasło — Gorlice. „N. Reforma“ nieustannie twierdziła, że ks. Pastor zostanie pogrzebany, że skończył swoją karierę, że niepotrzebnie się fatyguje, bo go nikt nie chce, a wszyscy natomiast chcą mieć posłem p. Zielińskiego. I oto ks. Pastor otrzymał 900 głosów, a niebezpieczny i „pewny“ jego kontrkandydat aż 14.

Wracając do wyborów krakowskich, muszę zaznaczyć, że sprawdziły się moje przewidywania, iż późne ogłoszenie nazwisk kandydatów zapobiegnie stawianiu ich na „cenzurowanem“ i że wskutek tego żaden z nich nie zostanie łotrem, zdrajcą lub kandydatem do czubków. Jedynie dr. Leo musiał odczytywać admonicę przez „Czas“ mu udzielane, które jednak niebardzo go zapewne martwiły, bo między wierszami czytał rozpaczliwą skargę: luby, czemuś mnie opuścił! — tak zdradzona kochanka woła do dawnego adoratora, który przy nowej kochance zapomina o przeżytych z dawną rozkoszach. Trudno się jednak dziwić „Czasowi“ — pozostał nagle biedaczysko bez ludzi, umiających robić wybory i nie odważył się nawet na postawienie własnych kandydatów. Wprawdzie popierał drugą listę, ale czynił to widocznie *à contre coeur*, z przymusem i nie widać było śladu, aby rozwinął z nimi jakąkolwiek agitację. Może chciał, ale nie umiał. Znaczna część wyborców nie wiedziała nawet o istnieniu drugiej listy, nikomu jej nie dostarczono.

Zebrania wyborców (z wyjątkiem żydowskich) były urządzone w ostatniej chwili i cieszyły się brakiem słuchaczy. Co prawda mowy kandydackie już się przeżyły. Czy one bowiem zawsze są potrzebne, czy nie są najczęściej prostą formalnością?

Mowa taka składa się stereotypowo z trzech części: W pierwszej kandydat stara się zaznaczyć, że wyborców ze swoją osobą. Jeżeli jest znany, to szkoda jego wysiłków, a jeżeli nieznany, to chyba niemożliwą jest rzeczą, aby wyborcy go poznali w ciągu kwadransa, który poświęca osobie swojej i swojej działalności. Wyborcy nie mogą odróżnić, gdzie jest prawda, a gdzie *propria laus*. Byłoby zapewne właściwiej, aby ta ocena osoby i działalności z innych ust wypłynęła.

Druga część mowy kandydackiej, to pogląd kandydata na najważniejsze sprawy krajowe, będące na porządku dziennym. Ale z natury rzeczy, wskutek krótkości czasu, niepozwalającego na pogłębienie spraw, kandydat musi traktować je „po łebkach“. Mówi więc o potrzebie uzdrowienia czy regulacji finansów krajowych, o konieczności poparcia handlu, przemysłu i rękodzieła, o uproszczeniu administracji, o reformach w szkolnictwie, o niedostatecznem uwzględnieniu praw języka polskiego, o reformie gminnej, o potrzebie rozszerzenia oświaty itd. itd. — i zaręcza, że wszystkie te sprawy uważa za pierwszorzędne i że będzie działał w kierunku pomyślnego ich załatwienia. Ale czy można przypuścić, aby jakikolwiek kandydat, jakiegokolwiek stronnictwa, wobec jakichkolwiek wyborców, oświadczył, że mu nie idzie o sanację finansową kraju, że nie będzie dbał o handel, przemysł, rękodzieła, że dość mu już tej oświaty, że ani myśli o wspomnianych wyżej reformach? Nigdy chyba z ust kandydata podobne słowa nie wyszły, ale za to rzadko się widzi, aby owe przyrzeczenia kandydackie, owe liczne obietnice, jakimi w trzeciej i ostatniej części swej mowy szafuje, w czyn się zamieniły. Wszak posiadamy np. w Krakowie takiego posła, o którym tylko ze słyszenia wiadomo, że żyje, dobrze trawi i bierze dyety poselskie. Ale czy naprawdę żyje, zato ręczyć bym się nie ośmielił.

Co do wyborów, można jeszcze to zauważyć, że... że dość już o nich w dzisiejszym fejtynie.

Gdybym miał „usta stu Homerów“ jeszczebym nie zdołał zdać dokładnie sprawy z najważniejszego, najwięcej omawianego przez nasze dzienniki faktu, jaki się zdarzył w ostatnich dniach w Europie, a którym była reduta prasy w Krakowie. Z opowiadania wiem, że to było coś bardzo nudnego, że „reduty“ właściwie nie było, a została tylko „prasa“ w znaczeniu niesłychanego natłoku — ale czytajcie dzienniki! Jakże w nich zachwyt, jakie poematy o *têtes coiffées*! A jaka reklama przed redutą. Bez przesady, w każdym numerze „Czasu“ i „N. Reformy“ o wywłaszczeniu, o tym strasznym zamachu pruskim, w chwili jego uchwalenia (pomijając telegramy) było dwa razy mniej, niż o reducie prasy. Kretynizm nie do uwierzenia. Można i należy reklamować zabawę na cel pomocy dla dziennikarzy, ale przecież powinna być jakaś granica — przecież nie wolno wobec publiczności wyprawiać błazeńskich harców, niewolno zohydzać dziennikarzy, że są tak bezdennie głupi. A tu granicy nie było — dziennikarzy przedstawiono jako ludzi obojętnych na wszelkie sprawy, mogących w najcieńszej dla narodu chwili błaznować dla zdobycia kilku groszy dla siebie, jako blagierów bez konkurencji, jako żaków ośmieszających swój zawód. Któż bowiem inaczej myśleć będzie (jeżeli ma trochę oleju w głowie), czytając te przesadne i idiotyczne reklamy. Któż się z nich śmiać nie będzie, przeglądając formalne traktaty o *têtes coiffées*, te wspólne w obu pismach artykuły: „Jak reduta prasy wyglądać będzie“ (tu na punkcie błazeństwa pogodzili się przeciwnicy) lub „Inkwizycja na reducie prasy“. Ale może czytelnikom pozakrakowskim nieznane są te żakowskie podrygi? No, streszczać ich nie mogę, niech mi uwierzą na słowo, że najgłupsze brukowe piśmidła wszech krajów i narodów zdystansowane zostały.

Gdyby za każde okazanie braku pięciu klepek sądzono dziennikarzy krakowskich, mógłby ich spotkać taki wyrok, jakiego żądał niedawno w Berlinie prokurator oskarżający właściciela biura adresowego za dostarczenie koło 40 000 kopert dla loteryi duńskiej. Loteria ta jako zagraniczna jest zakazana w Prusiech, a kara za namawianie do jej trzymania wynosi od 8 dni do 3 miesięcy aresztu lub 100—1500 marek. Otóż prokurator uważając dostarczenie każdego adresu za osobne przestępstwo obliczył, że oskarżonemu, uwzględniając okoliczności łagodzące, wypada zapłacić po 200 marek za adres, to znaczy 8 milionów marek, lub odsiedzieć 1461 lat i dni 35. Sąd obawiając się, aby oskarżony nie chciał odsiadywać 1461 lat, uznał, że popełnił on tylko jedno przestępstwo i skazał go na 3 miesiące więzienia lub 1500 marek.

I jeszcze jedna wiadomość. Przy ostatnich wyborach w Krakowie ubiegał się o mandat... Kościusko. Jeżeli nie wierzycie, to przeczytajcie sobie świeżo wydaną satyrę K. Bartoszewicza p. t.: „Kościusko kandyduje!“ Znajdziecie w niej dosadną satyrę stosunków i stronnictw krakowskich.

B. Gabryelska, Krzysztofory Kraków.
Wynajmuje i sprzedaje pierwszorzędnych fabryk fortepian, pianina, harmonie i pianole za gotówkę lub na spłaty nawet dwudziestomiesięczne bez zaliczki.

Kącik humorystyczny.

Lucidum intervallum.

Przy łożu nieprzytomnego pacjenta pyta lekarz stroskanej małżonki jego:

— Kiedy chory po raz ostatni odzyskał przytomność?

Żona (płacząc): Przed godziną! Powiedział wtedy... że... że... pan konsyliarz na niczem się nie rozumie... i pod żadnym warunkiem nie chciał zażyć lekarstwa, które mu pan doktor zapisał...

Miedzy przyjaciółkami.

Pierwsza: Czy mąż pani jest numizmatykiem?
Druga: Nie, proszę pani! On jest astmatykiem.

